



NIEUŚWIADOMIONA REWOLUCJA 1939–56

**CZY TO NAZIŚCI I SOWIECI WPROWADZILI
POLAKÓW W NOWOCZESNOŚĆ?**

W numerze:

Gwałt modernizacyjny

Bartłomiej Radziejewski..... 3

Polaku, jesteś wieśniakiem!

Krzysztof Wołodźko 7

Pałowanie polskiej świadomości trwa

Z Ryszardem Legutką rozmawia Michał Kuź 11

Czy zabić w sobie chłopca?

Z Michałem Łuczewskim rozmawia Krzysztof Wołodźko..... 17

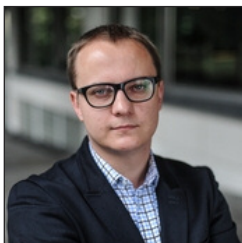
Taśmy prawdy geopolitycznej?

Jacek Bartosiak 21

Irak, Iran i coraz droższy pivot

Michał Kuź..... 23

Gwałt modernizacyjny



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Redaktor naczelny „Nowej Konfederacji”

Leder dotyka spraw ważnych, zbyt wiele jednak przemilcza. W dyskusji o rozwoju naszego społeczeństwa wciąż mamy do wyboru przewidywalne paszkwile i ckliwe apoteozy. Dobrze by było pójść krok dalej.

Wciąż żyjemy w kraju bardzo słabo opisanym. Brakuje nam wiedzy o dość podstawowych parametrach państwa, gospodarki, nawet o naszej historii. W efekcie, mało znamy samych siebie.

Rewolucja na siłę

Z tego punktu widzenia ostatnia książka Andrzeja Ledera („Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej”) to ważny krok do przodu. Teza jest brutalnie prosta: to naziści i komuniści wprowadzili Polskę w nowoczesność, w latach 1939–1956. Tę szczególną rewolucję, oznaczającą ostateczną likwidację feudalizmu, wyjście z „przedłużonego średniowiecza”, którą każdy naród może przeżyć tylko raz. Tymczasem za nas przeprowadzili ją totalitarni najeźdźcy. Przez samych Polaków została ona zaś „prześniona” – mówi autor.

W tej sprawie nie sposób odmówić Lederowi tytułowej „logiki historycznej”. Pośród bezmiaru zbrodni i strat Polska rzeczywiście wyszła z okresu 1939–56 z jednolitym narodem, uwłaszczonymi

chłopami, rozbudowanym przemysłem, zalfabetyzowaną ludnością, powiększonymi miastami. Przekroczyła tym samym, chcąc nie chcąc, próg (wyczekiwanej od jakichś dwustu lat!) nowoczesności.

Jest więc „Prześniona rewolucja” ważną lekcją samopoznania. Podstawowe wnioski słusznie formułuje sam Leder. Po pierwsze, w latach 1939–56 dawny naród (autor woli oczywiście mówić: „społeczeństwo”) polski został zniszczony, a na jego gruzach powstał nowy. Po drugie, w zwolnione przez wyteńpione elity i klasę średnią miejsce weszły przede wszystkim nieprzebrane rzesze chłopskich dzieci, zaludniając opustoszałe miasta i tworząc nowe, postchłopskie mieszczaństwo. W naturalny sposób odtwarzające w nowych warunkach relacje folwarczne („pan”–„cham”), ze wszystkimi tego skutkami dla kultury życia, pracy, organizacji. Po trzecie, to przede wszystkim dzieci i wnuki ludzi wielkiego awansu lat 1939–56 stały się elitami III RP. Po eksterminacji lub marginalizacji elit przedwojennych inaczej być nie mogło.

Jednocześnie jednak „Prześniona rewolucja” sporo spraw zaciemnia. Autor jest niemiłosiernie męczący, gdy dręczy czytelnika nader wątpliwą metodologicznie psychoanalizą Jacques’a Lacana. Co gorsza, „płylnie” już wyraźnie, gdy brnie w dywagacje o „fantazmatycznym” przeżywaniu przez „jakby śpiących” Polaków zagłady Żydów czy likwidacji ziemian jako klasy.

Czym innym jest analiza przypadków uwikłania autochtonów w zbrodnie najeźdźców, czym innym – upozorowana na naukową zabawę w psychoanalizę narodu, z generalną insynuacją cichego kibicowania mordom, wypędzeniom i wywłaszczeniom. Pierwszej jest u Ledera mało, drugiej – o wiele za dużo.

Niekryjącego sympatii do liberalnej lewicy profesora PAN ponosi też temperament ideologiczny, gdy po dość rzetelnej (wyjawszy wspomniane „laczizmy”) głównej części książki zaczyna strzelać nieargumentowanymi tezami jak z karabinu, wdając się w sądy o bieżącej polityce i próby podsumowań III RP.

Ale zamiast polemizować z utożsamianiem przez Ledera narodowości z plemiennością czy poglądem, że Lech Wałęsa jest „najwybitniejszym polskim politykiem”, wolę zająć się tym, czego w jego książce najbardziej brakuje.

Reczy przemilczane

Po pierwsze, wbrew temu, co pisze filozof, lejtmotyw „Prześnionej rewolucji” przewijał się już wcześniej u innych autorów, by wspomnieć „Odwieczny naród” Michała Łuczewskiego, „Esej o duszy polskiej” Ryszarda Legutki czy „Polactwo” Rafała Ziemkiewicza. Gdyby Leder te książki uwzględnił, jego wywody mogłyby znacznie zyskać, unikając może regularnego schodzenia na myślowe bezdroża.

Faktem jest jednak, że – o ile wiem – nikt przez autorem „Prześnionej rewolucji” nie pokazał fatalnych lat 1939–56 jako polskiego wejścia w nowoczesność i nie spróbował wyciągnąć z tego faktu wniosków. To duża Ledera zasługa.

Leder wpisuje się tu w szerszą tendencję, właściwą rodzimej liberalnej lewicy: ubolewania nad krzywdą i wykluczeniem, ale pod jednym warunkiem: że nie dotyczą one Polaków

Jednocześnie jednak – to drugi zasadniczy brak książki – profesor znacznie upraszcza problem owego wejścia w nowoczesność. O ile można się zgodzić, że okres 1939–56 był tu kluczowy, o tyle trudno zmilczeć pominięcie trwającej przecież już w XIX w. i w międzywojniu industrializacji czy unarodowienia zdecydowanej większości polskojęzycznej populacji jeszcze przed „wielką wojną”. Co do tego ostatniego, warto przypomnieć, że jeszcze ok. roku 1870 tylko 30–35 proc. ludzi mówiących w naszym języku uważało się za Polaków.

Tym bardziej trudno się zgodzić na pominięcie przez Ledera okresu po 1989 r. W kapitalizm weszliśmy już wprawdzie jako naród „po rewolucji”, ale przecież – w drugą rewolucję. W kapitalistyczną wersję nowoczesności, znoszącą stary (czyli komunistyczny) ład symboliczny i tworzącą nowy na jego gruzach. Co więcej, i ta rewolucja, mówiąc językiem

Ledera, została przez nas „prześniona”, zważywszy zewnętrzną genezę „terapii szokowej” i fakt, że największym beneficjentem transformacji okazał się zachodni kapitał. III RP to przecież także najliczniejsze od czasów początku PRL migracje ze wsi do miast, ze wszystkimi tego skutkami dla mentalności nowego mieszczaństwa.

Za cicho o sarmatyzmie

Trzeci brak książki Ledera polega na skrajnym bagatelizowaniu fascynacji „porewolucyjnych” Polaków kulturą szlachecką. Autor sprowadza je uporczywie do „rojeń o jakichś mitycznych dworach”, składając na karb tytułowego „prześnienia” rewolucji. Oto wywodzące się z chłopów nowe mieszczaństwo polskie wyparło jakoby ze świadomości swoje niewygodne pochodzenie, zastępując je fikcją zakorzenienia w szlacheckim stylu życia.

Oczywiście, fabrykowanie szlacheckiego pochodzenia przez ludzi, co to, jak mówi Ziembkiewicz, „ze wsi już wyszli, ale do miasta jeszcze nie doszli”, nadaje się do wykpienia. Ale jednocześnie znamionuje coś dużo głębszego i ważniejszego niż chęć upiększenia genealogii. W tym, że ci sami ludzie, którzy jako przedwojenne społeczeństwo zwracali się do siebie na „ty”, po wojnie przeszli na zastrzeżone wcześniej dla szlachty per „pan”, czy w dzisiejszej obsesji stylizowania domów na dworki – widać również potrzebę zakorzenienia w wyższej kulturze.

Najwyraźniej te „czerepy rubaszne” wciąż działają na wyobraźnię postchłopskiej, obitej przez historię zbiorowości, co pokazuje, że nie wszystko z dawnej Polski jednak zginęło. Szlachty już wprawdzie nie ma, ale szlachecki styl życia wciąż pociąga. A skoro tak, to może też obliżać do szlacheckich obowiązków.

W tym kontekście kluczowe jest to, jak ta tradycja będzie interpretowana i na co się w dzisiejszych zachowaniach Polaków przełoży. Wachlarz sarmackich inspiracji jest szeroki: od przekraczającego granice groteski sobiepaństwa, pychy budowanej na dawaniu swojemu chamowi po pysku, klientelizmu, po – świetną pracę państwową i umysłową. Na tych wzorach można więc zbudować rzeczy skrajnie różne: zarówno sprawną republikę, jak i patologiczną kulturę organizacyjną. Dlatego namysł nad przedrozbiorową tradycją jest ważny.

Tymczasem liberalna lewica stawia sobie za punkt honoru Polskę szlachecką na wszelkie sposoby rodakom zohydzić. Koronnym przykładem jest „Fantomowe ciało króla” Jana Sowy (na które zresztą Leder wielokrotnie się powołuje). Jednak lewica zdaje się nie zauważać, że bezkrytyczne powtarzanie XIX-wiecznych krytyk przedrozbiorowej Polski (upstrzone psychoanalizą, studiami postkolonialnymi itd.) wywołuje po drugiej stronie ideowego sporu kontrreakcję w postaci jednostronnej afirmacji.

W efekcie, zamiast dyskusji i selekcji ze szlacheckiej tradycji tego, co wartościowe, mamy do wyboru głównie do bólu przewidywalne paszkwile i apoteozy. Dobrze byłoby pójść wreszcie krok dalej.

Zapomniania kolonizacja

Wracając natomiast do głównej tezy „Prześnionej rewolucji”: razi w niej jeszcze czwarty, zasadniczy brak. W innych publicznych wypowiedziach Leder chętnie sięga po język teorii zależności, ubolewając zwłaszcza nad tym, jak Zachód (w tym Polska) eksploatuje globalne peryferie. Bezwiedne korzystanie przez konsumentów z premii cenowych związanych z nie-

wolniczą pracą dzieci gdzieś w Azji to z pewnością ważny, niedoceniany i oburzający aspekt współczesnej gospodarki.

Dziwi jednak, że autor takich spostrzeżeń ani razu nie używa w swojej książce... pojęcia kolonizacji (gdy mowa o latach 1939–56). Tym bardziej nie dostrzega oczywiście eksploatacji polskiej peryferii przez bogatsze kraje po 1989 r.

Leder wpisuje się tu w szerszą tendencję, właściwą rodzimej liberalnej lewicy: ubolewania nad krzywdą i wykluczeniem, ale pod jednym warunkiem: że nie dotyczą one Polaków. Oto mamy zastanawiać się, jak płacić za szyte w Bangladeszu koszule kilka razy więcej, żeby złagodzić wyzysk dawnego Trzeciego Świata. Ale przecież nie myśleć nad odwróceniem mechanizmu, w którego wyniku jesteśmy w ostatnich latach drenowani z 5 proc. PKB rocznie w związku z neokolonialnym statusem w świecie zachodnim. To już byłaby pewno „polska martyrologia”; furda, że w tych 5 proc. PKB też zawiera się mnóstwo tragedii ludzkich, nędzy i wykluczenia.

Zgodnie z tym schematem Leder chętnie wzywa Polaków do „wzięcia od-

powiedzialności” za przejmowanie przez ich przodków majątków pożydowskich, poniemieckich i poszlacheckich, ale nie zajakuje się nawet o tym, że trudno brać winę za procesy, których było się nie dość, iż tylko przedmiotem, to jeszcze – wyjątkowo brutalnie potraktowaną ofiarą. Oczywiście, gdyby użył cisnącego się na każdym kroku na usta pojęcia „kolonizacji”, skjarzenie z podbijanymi i wyzyskiwanymi narodami raczej ograniczyłoby jego aktywność w rozdrapywaniu polskich ran.

I może doprowadziłoby też autora do wniosku, że podstawowym przesłaniem dla skolonizowanego narodu nie powinno być żądanie brania przezeń współodpowiedzialności za zbrodnie kolonizatorów, lecz raczej takie pokierowanie swoim losem, aby wydobyć się z pułapki „rozwoju zależnego” – i nigdy więcej nie dopuścić do podporządkowania Polski zewnętrznym potęgom. Jednak Leder tego pojęcia nie używa.

Finalny wniosek z „Prześnionej rewolucji” trzeba więc wyciągnąć za autora: skoro to kolonizatorzy sprowadzili na nas te wszystkie nieszczęścia, to nauka jest jasna: nigdy więcej kolonizacji!

Polaku, jesteś wieśniakiem!



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Mamy specyficzną „pamięć/tożsamość ahistoryczną”. Spychamy do podświadomości fakt, że współczesny status społeczny wielu Polaków wynika często z PRL-owskiego awansu rodziców i dziadków.

W strefie wyobraźni społecznej pojawiły się niedawno dwa odmienne „nośniki pamięci/tożsamości”, oba z różnych przyczyn ważne. Pierwszy to fabularyzowany film dokumentalny „Powstanie Warszawskie”. Drugi to książka Andrzeja Ledera, filozofa kultury z Polskiej Akademii Nauk, zatytułowana „Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej”.

Wasalizacja albo życie

Oba te tytuły, tak różne, choć w jakiś sposób pokrewne tematycznie, odsyłają nas do kontrowersji związanych z polskim doświadczeniem historycznym w XX w. i próbami jego interpretacji, kulturowego przekształcenia w element współczesnej tożsamości. O elementarnym problemie w tym związanym przypomniał niedawno w swoich tekstach Piotr Skwieciński, publicysta „wSieci”: niemiecki hitleryzm stawił sobie za cel biologiczną degenerację i fizyczne unicestwienie polskiego społeczeństwa, na czele z elitami politycznymi, społecznymi, inteligentnymi. Z kolei

ok. 1944 r. zaczął się stalinowski plan wasalizacji i transformacji nie tylko państwa polskiego, lecz także polskiego społeczeństwa: dostosowania go do sowieckich norm. Plan, który co prawda nie został do końca zrealizowany, ale niestety po części się powiódł.

Dzisiejsza polska tożsamość i pamięć są wciąż nie dość zbadane. Także dlatego, że są pełne paradoksów wynikających z naszych dziejów. Nasza pamięć w dużej mierze jest pamięcią pokoleń, które przeżyły swoje życie w Polsce Ludowej i często mocno ambiwalentnie odnoszą się do tego okresu. Na tyle ambiwalentnie, że sentyment wobec epoki gierkowskiej jest socjologicznie potwierdzonym doświadczeniem wymykającym się prostemu podziałowi na prawicę i lewicę.

Z drugiej zaś strony oczekiwanie na film „Powstanie Warszawskie” pokazuje, że kolejne pokolenia Polaków chcą lepiej poznać czasy i wydarzenia, które przez dziesięciolecia funkcjonowały w sferze półcienia, w pamięci rodzinnej, jednak na ogół były zakazane lub okrojone w sferze

rze pamięci publicznej, oficjalnej, celebrowanej przez podporządkowane Moskwie państwo i wszelkie jego instytucje.

Mamy dziś też specyficzną, wzmocnioną już w czasach III Rzeczypospolitej, „pamięć/tożsamość ahistoryczną”, która polega na tym, że duża część społeczeństwa wypiera do podświadomości fakt, że ich własny, współczesny status społeczny wynika często z PRL-owskiego awansu rodziców i dziadków. Owszem, był to nierzadko „awans nieczysty”, to znaczny okupiony różnego rodzaju podporządkowaniem i współpracą z mniej lub bardziej opresyjnymi czy zideologizowanymi instytucjami Polski Ludowej, co z reguły racjonalizowane jest stwierdzeniem „innej Polski nie było”.

Powolna modernizacja w warunkach peryferyjnego kraju Europy Wschodniej polega dziś na tym, że wciąż mamy bardzo duży odsetek ludności dopiero w pierwszym, drugim lub trzecim pokoleniu żyjącej w miastach. To ludzie, których rodzice w PRL często przywędrowali ze wsi do miasta, zdobyli zawód zapewniający byt, ale dalszy awans społeczny był przed nimi zamknięty. I dopiero właśnie ich dzieci ukończyły studia i zrobiły (wielko)miejskie kariery zawodowe.

Niechciana rewolucja

Jednak dziadkowie lub rodzice tych pokoleń awansu społecznego czasów PRL i wczesnej III RP z reguły należeli do chłopstwa, czyli warstwy społecznej, która na ziemiach polskich przez wieki była najgłębiej upośledzona. Warto przy tym pamiętać, że specyfika rodzimej religijności, tak niezrozumiała dla Europy Zachodniej, także w znacznej mierze wynika właśnie z pochłopskiego charakteru polskiego społeczeństwa, z faktu, że to często

religijność postwiejska, przeniesiona w miejskie realia.

Ale dziś nierzadko można odnieść wrażenie, że niemal każdy mieszczanin i nowobogacki w pierwszym lub drugim pokoleniu miał za przodków co najmniej Radziwiłłów lub Potockich. Albo że wywodzi się od pokoleń z mieszczaństwa, które w rzeczywistości w Europie Wschodniej stanowiło przez stulecia bardzo wąską grupę społeczną. I, proszę wybaczyć, bardzo śmieszni są ludzie, którzy już w początkach III RP tak protekcyjnie odnosili się do „wieśniaków z PGR”, gdy sami ledwo co zasiedlili mieszkania z wielkiej płyty, choćby miast-sypialni czasów schyłkowego PRL.

**Ci, którzy w stolicy wyzywają
dzisiejszych przyjezdnych
od „słoików”, sami są
potomkami chłopstwa
przybyłego do Warszawy
w kolejnych
dziesięcioleciach PRL**

Tajemnicą poliszynela jest zresztą to, że Warszawa (jak i wiele innych miast polskich, w tym na Ziemiach Odzyskanych) po II wojnie światowej została zasiedlona przez ludność napływową, więc bardzo często ci, którzy w stolicy wyzywają dzisiejszych przyjezdnych od „słoików”, sami są potomkami chłopstwa przybyłego do Warszawy w kolejnych dziesięcioleciach PRL.

Być może to również część peryferyjnego kompleksu, ta dość szeroka narodowa niezgoda na swoją chłopską prze-

szość. I także stąd w wyobraźni społecznej lepiej widziane są mity szlacheckie. A jeśli w Święto Niepodległości rok za rokiem telewizje pokazują nam filmową adaptację „Ogniem i mieczem” czy nawet nakręconych w PRL „Potopu” i „Pana Wołodyjowskiego”, to wymownie wskazuje, jaka mitologia działała kojąco na smutki i ból Polaków i w czasach Gierka, i Jaruzelskiego, i handlu ulicznego wczesnej III RP, i wreszcie epoki zarobkowej emigracji.

Wspomniany przeze mnie na wstępie Andrzej Leder dowodzi w swojej książce, że w latach 1939–1956 dokonała się w Polsce najgłębsza transformacja społeczna, okrutna i brutalna, która jednak dała początek współczesnemu polskiemu społeczeństwu. Tyle że nikt nie chce o tej rewolucji pamiętać. Bo była to niechciana rewolucja, do której jednak z czasem się dostosowano i w ramach której Polacy przez dekady układali sobie życie.

A przecież kariera Lecha Wałęsy, który zaczynał pracę jako elektryk i konserwator urządzeń elektrycznych w Państwowym Ośrodku Maszynowym, instytucji stanowiącej istotny element wczesnej, PRL-owskiej transformacji, jest najgłośniejszą, hollywoodzką historią XX-wiecznych polskich przeobrażeń społecznych. Być może kiedyś ten czy inny publicysta lub historyk lewicy społecznej zdecyduje się napisać historię życia Wałęsy w świetle jej klasowych determinantów. Byłaby to bardzo pouczająca lektura o zdradzie klasy robotniczej przez lidera zaczynającego na proletariackich, PRL-owskich nizinach.

Wróćmy jeszcze do Ledera. Stwierdza on, że duża część dzisiejszych Polaków „pławi się w nostalgicznych rojeniach na temat swojej pseudoszlacheckiej przeszłości, na temat dworaków i hektarów, powstań i cmentarzy, albo »odlatuje« ku

jakimś hiperglobalnym wzorcom, czego znakomitym przykładem jest zawrotna kariera, jaką w warstwie mieszczańskiej zrobiło spożywanie sushi”. I nawet jeśli uznać, że taki opis naukowca jest przejawem, to wiele wyjaśnia z naszych dzisiejszych snobizmów i kodów kulturowych, z których pomocą Polacy (coraz bardziej podzieleni w kwestiach kapitału materialnego i kulturowego) okazują sobie niekiedy... wzajemną niechęć i wyższość. A w tych dwóch dziedzinach w III RP okazaliśmy się naprawdę niezli.

Zyski i straty

Żeby nie było jednak zbyt prosto, „Przeźnioną rewolucję” warto czytać naprzemiennie z książką, która sześć lat temu wywoływała gorące spory. Myślę o „Eseju o duszy polskiej” Ryszarda Legutki. Bo o ile Leder stara się wskazać źródła współczesnej powikłanej historycznie polskości, uznając, że czas już ją zaakceptować, o tyle Legutko przynajmniej w części swojej pracy wskazywał, co straciliśmy z własnej kultury na skutek przemian, które zaszły w polskim bycie narodowym i państwowym w XX w.

Dziś, jak sądzę, cała sztuka polega na tym, by pogodzić ze sobą te dwie rzeczywistości. I sztukę pamięci (bardzo bogatej i niejednoznacznej), i współczesną tożsamość, która w znacznej mierze opiera się na doświadczeniach życiowych naszych rodziców i dziadków, czyli jest tożsamością po-PRL-owską.

Mówiąc w skrócie, to ten moment, w którym warto uznać, że bardzo potrzebujemy takich filmów jak „Powstanie Warszawskie” i że nie ma sensu burzyć Pałacu Kultury i Nauki, do czego raz po raz demagogicznie nawołują niektórzy z publicystów. To moment, w którym

warto sobie uświadomić, że polskość współczesna może godzić sentyment do serialu „Wojna domowa” z radością oglądania „Czasu honoru”.

Choć równocześnie trzeba wreszcie zamknąć w lamusie „Czterech pancernych i psa” z jego propagandową wersją II wojny światowej, nie tracąc z oczu faktu, że dla wielu Polaków ze starszych pokoleń na zawsze największym dorobkiem życia

pozostanie ucieczka za pracą z zacofanej wsi do budowanych w PRL przy fabrykach bloków i mieszkanie z czasów gierkowskiej „małej stabilizacji”. A nawet jeśli wnuki lubią sobie dziś wyobrazić, że są potomkami Kmicica, to większość z nas i tak co najwyżej ma za przodka Rzędziana. I nie ma w tym nic złego, jeśli tylko potrafimy wciąż tworzyć swoją własną, żywą kulturę.

Pałowanie polskiej świadomości trwa

**Z Ryszardem Legutką
rozmawia Michał Kuź**



RYSZARD LEGUTKO

Profesor filozofii, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego

Tracąc swoją podmiotowość, staliśmy się obiektem agresji oraz bolesnej inżynierii społecznej. Najgorszą operacją była ta, która rozpoczęła się 1 września 1939 r. i poniekąd jest kontynuowana.

Czy problem Polski polega na tym, że nie było u nas prawdziwych rewolucji, podczas których wieszano nie tylko obrazy? Czy też wręcz przeciwnie: nasze społeczeństwo przeszło zbyt wiele wstrząsów? A może mamy problem ze swoją historią, dlatego że ważne przemiany były na nas wymuszane z zewnątrz?

W każdym z tych stwierdzeń jest trochę prawdy. Po pierwsze, u nas od pewnego momentu, mniej więcej od wieku XVII, zaczął się paraliż państwa, a tym samym państwo okazywało się nie tylko bezsilne wobec zdrajców, ale i samo pojęcie zdrady uległo rozmyciu. Dochodziło okazjonalnie do spektakularnych samosądów, np. w Wilnie czy Warszawie, lecz to nie zmieniło systemu. Później, już w czasie zaborów, Polacy musieli przecież współpracować z władzami zaborczymi, co dodatkowo zacierało różnicę między współpracą pragmatyczną a zaprzaństwem. Pogłębiło

się to w PRL, a dodatkowo w III RP. Dzisiaj trudno kogoś nazwać zdrajcą, nie narażając się na obelgi. W naszych czasach nie jest przyjęte nazywanie zdrajcą Bieruta czy pisarzy żądających w 1939 r. we Lwowie przyłączenia Polski wschodniej do ZSRR, a przecież w obu przypadkach to zdrada w stanie czystym. Nie wolno też nazywać zdrajcą Jaruzelskiego. W wyniku atrofii państwa – a III RP również na tę chorobę cierpi – doszło do całkowitej atrofii klasycznego języka moralnego.

Z drugiej strony, tracąc swoją podmiotowość, staliśmy się obiektem agresji oraz bolesnej inżynierii społecznej, co spowodowało niszczenie polskiej kultury i polskiej świadomości. Najgorszą operacją była ta, która rozpoczęła się 1 września 1939 r. i poniekąd trwa przy wykorzystaniu różnych środków. Przez pierwsze kilkadziesiąt lat stosowano metody ludobójcze – najpierw Niemcy, a później Sowieci i polscy komuniści; od 1955 do 1989 r. mieliśmy komunistyczną inżynierię spo-

łeczną w wersji złagodzonej. Najbardziej zdumiewające jest to, że podobne inżynierskie podejście do narodu pojawiło się w roku 1989, kiedy elity stwierdziły, iż Polacy są historycznie zapóźnieni i powinni zostać poddani swoistemu recyklingowi, bo ich tożsamość nie przystaje do współczesnego świata. Należy więc im tę tożsamość zmienić, by mogli wejść do grona społeczeństw współczesnych. W sposób tyleż trafny, ile perwersyjny ujął to kiedyś Janusz Lewandowski, mówiąc o „pałowaniu polskiej świadomości”.

**Jeśli nazwiemy
PRL-owskich działaczy
patriotami, to faktycznie
musimy grzebać gen.
Jaruzelskiego z honorami
i powiedzieć, że np. Monika
Olejniki i Agnieszka Holland
nie muszą się rodziców
wstydić**

Wszystkie te operacje dokonywane na Polakach sprawiły, że zatraciliśmy poczucie sprawczości. Nie uważamy, że od nas wiele zależy. Sądzimy raczej, że autorami współczesnego świata są ci inni, mądrzejsi i silniejsi, a my powinniśmy się tym mądrzejszym i silniejszym podporządkować. Współczesnych Polaków charakteryzuje więc swoiste poczucie wewnętrznego zniewolenia, co przejawia się m.in. w imitacyjności przekraczającej wszelkie dopuszczalne granice. Czujemy się dobrze, gdy się upodabniamy do innych,

a dążenia do odrębności są nieśmiałe i zawsze spotykają się z gwałtowną agresją.

W pewnym sensie odbieram zarówno „Fantomowe ciało króla” Jana Sowy i „Prześnioną rewolucję” Andrzeja Lederera jako mniej lub bardziej świadomą lewicową odpowiedź na pańskie tezy z „Eseju o duszy polskiej”. Wspomniani autorzy przyznają otwarcie, że zarówno rozbiory, jak i okres komunizmu były per saldo potrzebne dla ukształtowania bardziej sprawiedliwego społeczeństwa.

Niezbyt dobrze przyjmuję tego typu rozważania. Problem pierwszy to pytanie, ile zawdzięczamy zaborcom. Rosjanom niewiele, Niemcom i Austriakom więcej. Pozostaje oczywiście pytanie, czy gdyby Polska nie upadła w wieku XVIII, to nie byłibyśmy zdolni do podjęcia trudu usprawnienia systemu gospodarczego i politycznego, jaki dokonał się w świecie zachodnim w wieku XIX? Sugerowanie naszej organicznej niezdolności więcej mówi o obsesjach autora stawiającego takie tezy niż o cechach polskiego narodu. To stara teza zdegenerowanej linii polskich inteligentów, którzy byli zdolni uzasadnić każdy argument, jaki by prowadził do wniosku, że Polska jest licha i że najlepiej będzie wtedy, gdy ktoś mądrzejszy i silniejszy przejmie nad nią rządy. Paradoks polega na tym, że w czasach wolności tego typu myślenie niewolnicze nabiera popularności. Jeśli są jakieś przesłanki o lichoci polskiego społeczeństwa, będzie to występowanie właśnie takich autorów głoszących właśnie takie poglądy.

Zaś co do drugiego argumentu mówiącego o dobrodziejstwach modernizacyjnych komunizmu, to stanowi on także starą, bardziej wyrafinowaną wersję po-

głędu głoszonych przez komunistów. Mówili oni przecież o marszu cywilizacji – symbolizowanej przez komunizm, który wart był zapłacenia wielkiej ceny, wliczając w to cenę terroru, kłamstwa i krwi. Komunistyczni intelektualiści, którzy taki pogląd wyznawali, wiedzieli doskonale, co się dzieje, widzieli dokonującą się krwawą rewolucję i ją popierali. Nie śnili, nie byli nieprzytomni, podobnie jak nie śnili i nie byli nieprzytomni ci, na których tej strasznej operacji modernizacyjnej dokonywano.

Na pytanie, które później zadawano owym intelektualnym obrońcom komunizmu, a mianowicie, dlaczego godzili się na rzeczy tak straszne, odpowiadali, że nie widzieli żadnej alternatywy, bo przecież II RP była nie do przyjęcia. Ta nienawiść do II RP okazała się – od tych największych, np. Kołakowskiego i Miłosa, do ostatnich miernot komunistycznych – głównym uzasadnieniem degradacji intelektualnej i moralnej, jakiej przez pewien czas ulegli. Formułowanie podobnego argumentu dzisiaj, nawet w formie bardziej intelektualnie pokrętnej, jest nie tylko wstrętne, lecz dowodzi także nieuleczalnego trwania w starych obsesjach. To jakieś żalosne odgrywanie starych środowiskowych fobii; to uparte i tępe trwanie w anachronicznych nawykach.

Chcielibyśmy myśleć o sobie jako o potomkach Sarmatów. Problem polega na tym, że obecne polskie elity i załóżkowa klasa średnia zawdzięczają swój awans czemu innemu. Niemal każda rodzina ma jakiegoś wujka z UB czy marcowego docenta.

Powyższy opis to też mistyfikacja. Ja na polski naród patrzę inaczej. Oczywiście jest tu sporo ubeków i ich potomków, ale widzę znacznie więcej in-

nych ludzi. Myślę o ludziach, których rodzice i dziadkowie mieszkali w Wilnie, we Lwowie, w Grodnie i Stanisławowie, którzy musieli w ciągu kilku godzin opuścić na zawsze swoje mieszkania i zgromadzone przez pokolenia pamiętki, biblioteki i dobra osobiste.

Myślę o tych, których okupanci niemieccy i sowieccy wymordowali, przegnali, zesłali i upodlili, a ich rodziny musiały czekać lata na wiadomość o miejscu, czasie i rodzaju śmierci lub miejsca pobytu. Myślę o Polakach, którym odebrano dworki, wille, mieszkania, a także parki, po których lubili chodzić, kościoły, w których się modlili, i muzea, które lubili zwiedzać. Myślę o warszawiakach, których wymordowano i przegnano, a ich ukochane miasto zniszczono. Myślę o ludziach, którzy w roku 1945 się nie poddali i trwali w oporze.

To prawda, że część, która przeżyła, stabilizowała się w nowym systemie i zasilała szeregi PZPR. Ale wystarczyła iskra, by nagle przypomnieli sobie o wszystkim i by ich potomkowie zaczęli odczuwać dumę z osiągnięć i poświęceń rodziców czy dziadków. To znacznie prawdziwsza opowieść o Polakach, a nie ta, która mówi, że przejmowali cudze mieszkania i wywodzili się z ubecji bądź inteligencji marcowej. Ja nie wychowałem się wśród rodzin ubeckich i z pewnością nie przebywałem w towarzystwie docentów marcowych. A moje losy i losy mojej rodziny były dość typowe.

A co zrobić z elitami z PRL-owskiego awansu? Na przykład z dziadkiem z SB, którego istnienie wytykano niedawno pewnemu znanemu historykowi z IPN.

Wracamy do poprzednio podniesionej kwestii. Trzeba jasno powiedzieć, kto był

obrońcą państwa polskiego, a kto zdrajcą. Jeśli nazwiemy PRL-owskich działaczy patriotami, to faktycznie musimy grzebać gen. Jaruzelskiego z honorami i powiedzieć, że np. Monika Olejnik i Agnieszka Holland nie muszą się rodziców wstydzić. Jeśli natomiast stwierdzamy, że ci ludzie Polskę zdradzili, mamy prawo wymagać, by młodsze pokolenia wyraźnie odcięły się od idei, którymi kierowali się ich rodzice i dziadkowie. Tak przecież uczynił wspomniany przez pana historyk. Albo Polska niepodległa wyciągnie wszystkie wnioski ze swojej niepodległości, albo nadal będzie wlokła za sobą peerelowski bagaż i zatrzymała się peerelowską spuścizną.

W „Eseju o duszy polskiej” pisze pan także o natrętnym demoliberalnym egalitaryzmie, który zastąpił siermiężną komunistyczną narrację o socjalistycznym społeczeństwie. Czy ów egalitaryzm nie jest jednak tylko pozorem, fetyszem. Pokolenie obecnych trzydziesto- i dwudziestolatków zdaje się tego egalitaryzmu nie dostrzegać. Dostrzegają za to brak perspektyw i brak stabilizacji.

Egalitaryzm ekonomiczny jest oczywiście nie do osiągnięcia, nie istniał on nawet w skrajnie opresyjnym komunizmie. Pewien rodzaj oligarchizacji ekonomicznej będzie więc występował zawsze. To prawda, że w roku 1989 polskiego systemu gospodarczego nie otworzono wystarczająco szeroko, a oligarchizacja, którą wpisano w akt założycielski, z czasem ten system jeszcze bardziej zamykała. Mieszkańcy Europy Zachodniej również narzekają na zamkniętość swojego systemu gospodarczego, przede wszystkim dla młodych ludzi, co wynika częściowo z powodu

kryzysu, a częściowo z powodu biurokratyzacji współczesnego państwa.

Ale ja nie mówię o egalitaryzmie ekonomicznym, lecz o równości jako praktycznie jedynej zasadzie moralnej i politycznej, która organizuje współczesne myślenie. Wszystkie lub prawie wszystkie dzisiejsze aspiracje wyrażane są w języku równości i wszystkie zmiany, jakie się dokonują w społeczeństwie i w kulturze, mają charakter równościowy. Podstawowe hierarchie i instytucje hierarchiczne, na których opierała się nasza cywilizacja, zostały podważone: rodzina, szkoła, uniwersytet, kultura. Wszystkie one zostały zmuszone do przyjęcia zasady równości. Nawet kanon sztuki został zmieciony, bo sama myśl o trwałej hierarchii arcydzieł obraża uczucia równościowe.

To procesy bardzo niepokojące. Równość już dawno rozstała się ze zdrowym rozsądkiem i stała się narzędziem niszczenia, a przy okazji zniewalania. Jak wiemy, odruch równościowy często kłóci się z odruchem wolnościowym. Dlatego wraz z sukcesami polityki równościowej świat staje się coraz bardziej duszny, coraz bardziej reglamentowany i coraz bardziej skonformizowany. Egalitaryzm jest żarłocznym potworem, który choćby nie wiem ile pożarł, nie jest nigdy nasycony. Ekscesy, jakie w ciągu ostatnich lat wyprawia się z rodziną i małżeństwem, a wszystko w imię równości, pokazują, że egalitaryzm nie zna miary i nie zatrzyma się sam.

No tak, ale czy ten kulturowy egalitaryzm nie ma funkcji kompensacyjnej? Na zasadzie: nie dostaniecie stałej pracy, lecz i tak będzie równiej, bo będziecie mogli zawrzeć małżeństwo homoseksualne. Tymczasem młodzi Po-

lacy przeciwko temu już się buntują i dlatego głosują na ludzi takich jak Korwin-Mikke. On wszak mocno uderza w egalitaryzm kulturowy swoimi obrazoburczymi wypowiedziami. Równocześnie zaś chce zniszczyć i tak niedostępne dla młodych przywileje.

Współczesny egalitaryzm nie ma funkcji kompensacyjnej. Wyraża on realne pragnienia i realne ideały. Praktycznie obejmuje on i organizuje jedyne dziś silne moralne impulsy w społeczeństwach zachodnich. Prowadzą one do odrzucenia klasycznej koncepcji natury ludzkiej, która zakreślała granice ingerowania w nią. Obecnie można z człowiekiem zrobić wszystko, obalić wszelkie normy i zakazy, aby równość triumfowała. Można zmienić definicję rodziny, wbrew naturze, doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi, byle tylko zaspokoić chore pragnienia fanatycznych egalitarystów. Jaki jest stosunek Polaków do tych zmian? Ogólnie dość potulny.

Widzę jednak pewne pozytywne reakcje, przede wszystkim wynikające z inspiracji chrześcijańskiej, np. ciągle silna niechęć do tzw. małżeństw homoseksualnych, duży ruch antyaborcyjny, deklaracja wiary lekarzy, liczne uczestnictwo w inicjatywie Jeden z Nas itd. Chrześcijaństwo jest najpoważniejszym źródłem oporu przeciw nowej quasi-religii egalitarnej, dając wsparcie klasycznej koncepcji człowieka. Janusz Korwin-Mikke to epizod, anegdota, incydent bez znaczenia. Oczywiście wykorzystuje on reakcję antyprawościową, ale nie symbolizuje żadnego ruchu ani nie wyraża żadnych głęboko zakorzenionych pragnień. Pojawił się na fali demokratycznego bałaganu i na tej samej fali zniknie.

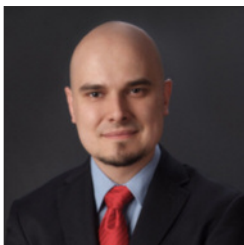
Czy jest nadzieja, że młode pokolenie spojrzy inaczej na historię, że obudzi Polskę z drzemki, o której pan pisał w „Eseju o duszy polskiej”?

Tego wiedzieć nie możemy. Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: „Dlaczego nie?” Nikt, ani jednostki, ani narody, nie są skazane na trwanie w gnuśności. Nie ma żadnej konieczności ani żadnego wyroku historii. Obecnie obserwujemy pewne zmiany na lepsze. Widać, że niemała część młodych ludzi odkrywa chwalebna i inspirującą przeszłość, a także odczuwa dyzgust wobec peerelowskiej trucizny, którą przesączona jest III RP. Stąd np. spektakularnie odrodzony kult Żołnierzy Wyklętych i całego podziemia niepodległościowego. Wszystko to powoduje odrzucenie postaw niewolniczych i odrodzenie ducha samodzielności. Bo to nieprawda, że spór toczy się tylko o przeszłość. Dotyczy on także przyszłości: czy mamy być podmiotowi, czy przedmiotowi. Odrodzenie ducha podmiotowości – zarówno wobec przeszłości, jak i czasów obecnych i przyszłych – wywołuje furję wśród lewicowych i liberalnych elit, które na naszych oczach degenerują się w tempie wręcz niebywałym.

Stąd prześcigają się w dekonstruowaniu polskości, zawstydzaniu, demistyfikowaniu, obnażaniu, obrażaniu i innych tego rodzaju wygłupach. Nie chcę przesadzać w mocnych słowach, ale to już chyba faza gnilna tej grupy. No bo jak inaczej tłumaczyć to nieustanne walenie nas po głowach antysemityzmem i współudziałem w Holokauście, te wszystkie napaści na Inkę: że krzyczała w chwili śmierci „Niech żyje Polska”, tak jak Niemcy krzyczeli „Heil Hitler”; te idiotyzmy o „Zośce” i „Rudym” jako antysemitach czy homoseksualistach. Jeśli dokona się w Polsce

jakaś zmiana na lepsze, a – powtarzam – nie widzę powodu, by nie miała się ona dokonać, to zaistnieje ona wbrew tym pożał się Boże elitom i przy wściekłym

ich oporze. Nie jest to niestety pierwszy przypadek w naszej historii, że wrogowie wewnętrzni szkodzą Polsce bardziej niż wrogowie zewnętrzni.

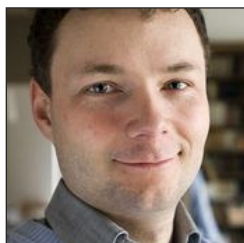


MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Czy zabić w sobie chłopca?

Z Michałem Łuczewskim
rozmawia Krzysztof Wołodźko



MICHAŁ ŁUCZEWSKI

Socjolog, metodolog, psycholog

Zrobiliśmy wiele, żeby przemilczeć polską wieś, żeby ją „zniknąć” z przestrzeni publicznej. Argumentowano, że jeśli mamy się zmodernizować, to musimy zdecydowanie odciąć się od Polski plebejskiej.

Andrzej Leder „Prześnioną rewolucją” ukradł panu opowieść o plebejskiej Polsce, zawartą w książce „Odwieczny naród”.

[śmiech] Leder zastosował psychoanalizę do całego narodu, a ja – trochę skromniej – chciałbym zastosować ją do jego książki. Myślę, że autor „prześnił” moją opowieść o zmudnym przekształcaniu polskojęzycznych chłopów w stuprocentowych Polaków w galicyjskiej wsi Żmiąca. „Rewolucja” w spojrzeniu na chłopstwo, jaką chciałem w niej zaproponować, okazała się najwidoczniej przerażającą traumą (książka ma ponad 600 stron) i została przez niego przeżyta „bez świadomości”, „jakby we śnie”. A potem w polskim „imaginariusm społecznym” jego publikacja jak gdyby nigdy nic weszła na miejsce moje!

Leder sugeruje, że najważniejszym doświadczeniem dla kształtowania współczesnej polskości była „niechciana rewolucja” z początków Polski Ludowej.

Pan chyba ze względu na konserwatywny rys swoich interpretacji nie przywiązuje do tego większego znaczenia. To błąd.

Ale konserwatyści zgadzają się z Lederem! Zresztą zawsze miałem podejrzenie, że współczesna lewica jest nieświadomą kopią... krakowskich konserwatystów. Adam Michnik powtarza niemal dosłownie jeremiady hr. Tarnowskiego, Jan Sowa – krytykę polskiej anarchii, którą sformułował Michał Bobrzyński. Andrzej Leder musi więc powtórzyć (nieświadomie?) tezę Ryszarda Legutki o zerwaniu ciągłości polskich dziejów i zgodzić się (wiedziony przez ukryte pragnienie?), że należy tę ciągłość odbudować.

Moja książka nie jest ani lewicowa, ani konserwatywna. Więcej, z jednej strony byłem oskarżany, że wprowadzam w niej stalinowskie metody do polskiej socjologii (bo zwracam uwagę na pierwszorzędą rolę procesów gospodarczych), a z drugiej, że bronię ideologii Polaka katolika (bo

nie dystansuję wobec ludzi, z którymi rozmawiałem).

Moim celem było opisanie na nowo historii Polski przy pomocy narzędzi zaczerpniętych z socjologii ruchów społecznych. Patrzę na rzeczywistość z punktu widzenia gospodarki, polityki i kultury. Te elementy tworzą kontekst dla działalności różnych podmiotów, które – jeśli mają być skuteczne – muszą zamieniać się w coraz bardziej masowe ruchy społeczne. Polskie ruchy społeczne reprezentują różne wizje polskości albo mocniej – różne narody. W ciągu kilkuset lat pokazują walkę między nimi. Walkę wszystkich ze wszystkimi o to, co znaczy polskość.

W pana koncepcji w kilku miejscach widzę nie do końca dla mnie oczywiste założenia. Podkreśla pan choćby konserwatyzm polskiego chłopstwa, gdy pod koniec XIX w. zaczęło ono wchodzić na historyczną arenę. Ale przywoływany przez pana ks. Stojałowski, postać istotna dla budzenia świadomości narodowej galicyjskich chłopów, miał wiele z radykała społecznego. A odrębność klasowa pojmującego swoje interesy chłopstwa była mocno konfliktogenna w ówczesnej strukturze społecznej.

Ks. Stojałowski ukrywał się nawet we wsi Jaworzna obok Żmiącej...

Ale kwestia jest bardziej złożona. To ten kapłan zobaczył pierwszy w polskiej historii, jacy chłopcy są naprawdę. Nie wystarczał mu ich wyidealizowany, sielanekowy obraz. Widział ich harówkę, która zapewniała im nieraz przetrwanie tylko na poziomie wegetacji. Widział ich także jako ludzi, którzy chodzą do kościoła, co było kompletnie nieinteresujące dla ro-

mantyków zafascynowanych przedchrześcijańskimi tradycjami ludowymi. Poza tym ks. Stojałowski w odróżnieniu od ideologów rewolucyjnych, takich jak Henryk Dembowski, nie tylko akceptował, lecz nawet afirmował ich przywiązanie do cesarza i państwa austriackiego.

**Kard. Wyszyński,
wypracowując własną
koncepcję Polaka katolika
w komunistycznym
otoczeniu, dał równocześnie
plebejskiej, chłopskiej
Polsce uczestnictwo w życiu
ludowym, narodowym
i religijnym**

Powiedział chłopom coś takiego: nie musicie niczego się wyrzekać, możecie nadal być katolikami, wiernymi synami Kościoła, możecie być nadal „cesarskimi dziećmi”, dodajcie do tego jeszcze tylko jeden element i zrozumiecie, że jesteście Polakami. Możecie tylko na tym skorzystać, bo dzięki samoorganizacji narodowej osiągnięcie podmiotowości, staniecie się lepszymi gospodarzami, zwiększycie dobrobyt materialny, uniezależnicie się i od panów, i od Żydów.

To spowodowało, że zarówno polska szlachta, jak i hierarchiczny Kościół odkryli chłopstwo galicyjskie jako grupę naruszającą dotychczasowe status quo. Ks. Stojałowski powołał do życia Polaka-katolika-Austriaka jako realną siłę. Był konserwatystą, który doprowadził do rewolucyjnych zmian.

Wróćmy do Lederowego „momentu przeobrażenia” Polaków, czyli lat powojennych.

To ważny czas. Jednak nie tylko ze względu na „mieszczańską rewolucję”, czyli zajmowanie nowych miejsc społecznych w chłopskim społeczeństwie, z którego zniknęła burżuazja, ziemiaństwo i Żydzi (ten proces dokonał się w Żmiącej pół wieku wcześniej). Zwracam uwagę na to, że właśnie wtedy staliśmy się w swojej „narodowej masie” Polakami katolikami.

Po 1945 r. powstał wielki ruch o charakterze narodowym, blisko związany z Polską plebejską, którego ojcem założycielem jest kard. Wyszyński. Wcześniej nie był on możliwy, gdyż ruchy i partie chłopskie były w znacznej mierze antyklerykalne. Prześladowania chłopów przez prosowiecką władzę doprowadziły do tego, że podmiotowość wsi była zagrożona, ruchy chłopskie zostały albo zinfiltrowane, albo zniszczone. I tylko pod skrzydłami relatywnie autonomicznego Kościoła chłopcy mogli zachować swoją tożsamość. Na skutek roszczeń wszechwładnego państwa katolicyzm stał się jedynym wehikułem mobilizacji społecznej.

Kard. Wyszyński, wypracowując własną koncepcję Polaka katolika w komunistycznym otoczeniu, dał równocześnie plebejskiej, chłopskiej Polsce uczestnictwo w życiu ludowym, narodowym i religijnym. Podkreślenie przez kardynała roli narodu w dziele zbawienia sprawiło, że ruch ludowy pod egidą Kościoła przestał być partykularny i stał się powszechny.

Leder zwraca znaczną uwagę na konflikt między chłopstwem a Żydami. Dla pana to istotna sprawa?

Tak, ale dla mnie istotniejszy niż wskazanie realiów II wojny światowej jest konflikt między chłopami a Żydami jeszcze pod koniec XIX w., gdy zanikała pańszczyzna. To Żydzi stali się warstwą, z którą wtedy najczęściej spotykali się chłopcy. Bo to oni w większości parali się wówczas handlem, prowadzili sklepy, hurtownie, karczmy. Także oni udzielali pożyczek. I tu rodziły się ogromne konflikty klasowe, jeszcze zanim chłopcy uzyskali polską świadomość narodową. W Żmiącej pod koniec XIX w. smarowano łajnem drzwi karczmy, pisano na ścianach: „spuść psa, uwiąż Żyda”. Dopiero później, wraz z wejściem chłopów w przestrzeń polskości, ten konflikt nabral także cech narodowych i religijnych.

Z tego, co pan mówił wcześniej, wynika, że ostatecznie „niechciana rewolucja” lat 1945–1956 wywołała skutki odwrotne od zamierzonych przez komunistów: chcieli stworzyć świeckie społeczeństwo, a popchnęli plebejską Polskę w ramiona Kościoła.

Przed wojną partie chłopskie, szczególnie ich młodsze pokolenia, wprost komunistowały. Międzywojenny konflikt między plebanem a chłopem był bardzo mocny. Ale już dwie dekady po wojnie polska wieś brała masowo udział w dużych katolickich wydarzeniach religijnych. To byli często ci sami ludzie – z komunistycznej młodzieży chłopskiej przemienili się w dorosłych szukających dla siebie ochrony własnej tożsamości pod skrzydłami Kościoła.

Dodajmy jednak, że religijność ludowa kulturowana przez kard. Wyszyńskiego, bardzo mocno rozwinięta wbrew państwu w latach 1956–1966, nie była interesująca dla inteligencji. Ale jego pracę

duchową i religijną kontynuował bp Wojtyła, również jako papież Jan Paweł II. Z tym że temu drugiemu w większym stopniu udało przekonać się do Kościoła inteligencję, przyczyniło się do tego nieco inne rozłożenie akcentów.

Brakuje mi tu jednak istotnego wątku: kwestii wzrostu religijności wśród robotników. Czy nie wiąże się to z faktem, że ich znaczna część w latach PRL-owskiej industrializacji przeszła ze wsi do miasta?

Z jednej strony mogę się z tym zgodzić, w końcu często działo się to w jednym pokoleniu. Ale warto zwrócić uwagę, że Nowa Huta było miastem chłopów, którzy stali się robotnikami, i fakt, że nie wybudowano tam przez lata kościoła, nie wynikał tylko z polityki władz. Brało się to także z bardzo słabej religijności i „swobodnej moralności” przybywającej tam wiejskiej młodzieży. Zmiana moim zdaniem wzięła się stąd, że silny ruch społeczny może organizować się tylko wokół mocnych celów moralnych i stąd nie ma dla niego nic lepszego niż integralne zasady religijne. Dlatego też katolicyzm okazał się tak istotny dla mobilizacji społecznej Polaków w PRL: pomagał znów stworzyć wspólnotę, a nie mrówczy kolektyw. I to przetrwało do dziś, około 95 proc. Polaków to ludzie ochrzczeni w Kościele katolickim. Projekt Wyszyńskiego i Wojtyły okazał się o wiele trwalszy niż „niechciana rewolucja” komunistów.

W swoich badaniach naukowych zajmuje się pan także „Solidarnością”. Można ją wpisać w opowieść o plebejskiej, pochłopskiej Polsce?

Pierwsza „Solidarność” jako dziesięcioletni ruch społeczny czerpała również z dziedzictwa kard. Wyszyńskiego, jego teologii narodu, czyli modelu Polaka katolika bazującego właśnie na ludowym, chłopskim opowiedzeniu się za Kościołem. Ale wielkomiejska inteligencja, która opowiedziała się za „S”, skupiała się zdecydowanie bardziej na robotnikach niż chłopach. I nieprzypadkowo wielkomiejska „Solidarność” i chłopska „Solidarność” Rolników Indywidualnych to były dwie różne „S”.

Ta druga jest w zasadzie nieobecna w społecznej świadomości i dopiero obecnie za badanie „Solidarności” RI wziął się Ireneusz Krzemiński. Tej historii praktycznie nikt nie spisał, mówił mi o tym z żalem choćby Gabriel Janowski, który jako doktorant w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego zakładał rolniczą „S”.

Od początku lat 90. XX w. zrobiono wiele, żeby przemilczeć polską wieś, żeby ją „zniknąć” z przestrzeni publicznej. Argumentowano, że Polska ma przestarzałą strukturę społeczną, niskie kompetencje kulturowe. A jeśli mamy się zmodernizować, to musimy „zabić w sobie chłopca”, zapomnieć o swoich chłopskich korzeniach. I odseparować polską wieś od wizji nowoczesnej polskości. To było i jest nieprawdziwe oraz szkodliwe.



KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Taśmy prawdy geopolitycznej?



JACEK BARTOSIAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Sienkiewicza, Nowaka i Belkę mógł nagrać tylko gracz dysponujący potężnymi zasobami technicznymi. Ktoś zdeterminowany, aby rząd obalić lub zmiękczyć.

Kto oraz po co nagrał i opublikował rozmowę Bartłomieja Sienkiewicza i Marka Belki, ma jednak znaczenie kluczowe. Gdyby była to kwestia ogólnie nienależytego zabezpieczenia rozmów na tym szczeblu, to przy dzisiejszym dostępie do urządzeń rejestrujących mielibyśmy takie afery codziennie. Ten czy inny rząd mógłby szantażować co drugi człowiek z ulicy.

Zatem mógł to zrobić tylko gracz dysponujący potężnymi zasobami technicznymi. Ktoś zdeterminowany, aby rząd obalić lub zmiękczyć. Wskazują na to np. sugestie, że istnieje znacznie więcej nagrań, zgromadzonych przez długi czas. Publikacja takich taśm, o ile nie zmierza wprost do obalenia rządu, to może być sygnałem: mamy was w garści, róbcie, co mówimy, albo padną kolejne ciosy.

Kto może być zdolny do podjęcia takiej gry? Pomińmy na chwilę wątek frakcji polskich służb specjalnych i wykonajmy ćwiczenie zakładające, że to jednak obcy wywiad. Stosunkowo najrzadziej analizowano dotychczas sprawę w kontekście

geopolitycznym, na nim się więc w tym miejscu skupmy.

Polska jest ważna dla trzech wielkich graczy areny międzynarodowej: Niemiec, Rosji i Stanów Zjednoczonych. Toczy się między nimi obecnie złożona gra. Jej dynamikę wyznacza amerykańska reorientacja na Pacyfik w związku z rosnącym zagrożeniem chińskim i przesuwaniem ciężaru ekonomicznego świata w tamtym kierunku. To tworzy w Europie próżnię bezpieczeństwa, która budzi apetyty Niemiec i Rosji skrzepowanych (aczkolwiek w różny sposób) obecnym łańcuchem międzynarodowym i mających wspólny interes w jego korekcie. To wyjaśnia np. politykę Moskwy wobec Kijowa i życzliwą neutralność Berlina wobec niej.

Czy zatem to Niemcy mogą stać za aferą taśmową? Relacje z Polską są dla nich obecnie korzystne, nie widać więc na horyzoncie niczego, w czym mogłoby im pomóc takie uderzenie w Tuska. Zwłaszcza że alternatywa może być mniej proniemiecka, a Niemcy mają i tak mnó-

stwo problemów ze stabilnością finansową i polityczną Unii Europejskiej, której są głównym filarem, lecz także beneficjentem.

A jak sprawa wygląda z punktu widzenia Rosji? Od czasu retorycznego „pojednania” Kreml liczył na konkrety, m.in. wejście do polskiej bankowości i branży chemicznej. Obecny rząd nie sprzyjał tym zamierzeniom. W tym kontekście afetaśmowa mogłaby być początkiem kolejnej serii ciosów w tej walce.

Rzecz jednak w tym, że w międzyczasie sytuacja się zmieniła: po kryzysie krymskim „pojednanie polsko-rosyjskie” ostatecznie trafiło do lamusa, a Tusk przyjął antyrosyjską retorykę. Jaki sens miałyby w tej sytuacji osłabianie rządu w Polsce? Chyba tylko taki, że ogólna destabilizacja obniża rangę i siłę polityczną naszego kraju w kluczowym momencie wykonywania się nowego ładu bezpieczeństwa w Europie. Nie możemy także wykluczyć, że ma to związek np. z rosyjskimi podchodami pod Grupę Azotową Puławy (rosyjski Acron dokupił ostatnio jej akcje i z pewnością chciałby dokupić kolejne).

A może Stany Zjednoczone? Po rosyjskiej agresji na Ukrainę ponownie zainteresowały się Polską jako potencjalną „warownią” mogącą odstraszać Moskwę i utrzymywać korzystny dla USA ład w Europie Środkowo-Wschodniej bez konieczności amerykańskiego powrotu militarnego w tę część świata.

Pisałem niedawno o tym, że Waszyngton jest skłonny do pewnego wzmocnienia nas, ale w zamian domaga się kupna amerykańskiej broni i amerykańskich technologii wojskowych oraz dostępu do polskich złóż surowców i technologii przyszłości. Usiłuje przy tym tworzyć wrażenie, że to nam powinno się w tej sprawie

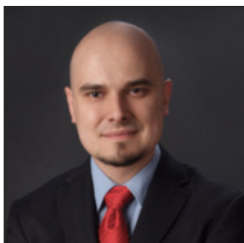
śpieszyć. Tymczasem w rzeczywistości Rosja krótkoterminowo zagraża nam co najwyżej w takim samym stopniu jak interesom samych USA na Ukrainie.

Po raz pierwszy od dawna mamy więc sytuację, w której to Ameryka bardziej potrzebuje nas niż my jej. Kluczowe pytanie brzmi: na ile gabinet Tuska jest skłonny do spełnienia oczekiwań Waszyngtonu. Nie wiemy, co się dzieje za kulisami, warto więc bardzo uważnie obserwować, jak będzie się wkrótce rozwijać współpraca polsko-amerykańska na wielu płaszczyznach: zbrojeniowej, wojskowej, przemysłowej i surowcowej.

Ewentualne posiadanie przez obcy wywiad materiałów kompromitujących czołowych polskich polityków tworzyłoby sytuację umożliwiającą wymuszanie uległości polskiego rządu w różnych sprawach

Niezależnie od tego, która z powyższych hipotez jest najbliższa prawdy, ewentualne posiadanie przez obcy wywiad materiałów kompromitujących czołowych polskich polityków tworzyłoby sytuację umożliwiającą wymuszanie uległości polskiego rządu w różnych sprawach. Byłoby to w oczywisty sposób zagrożenie dla racji stanu. Jak na razie Rada Ministrów nie ustępuje. Zobaczymy, co będzie dalej.

Irak, Iran i coraz droższy pivot



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”

Koszty zwrotu ku Azji są coraz większe. Nikt w USA nie chce dziś słyszeć o ponownym wysłaniu żołnierzy do Iraku. W tej sytuacji rząd iracki może pójść tylko w jednym kierunku. W stronę Teheranu.

USA zaczynają cierpieć na typowy syndrom nadmiernego imperialnego rozciągnięcia. Ze względu na rosnące znaczenie Chin chcą skupić się na swoich interesach gospodarczych i militarnych w basenie Pacyfiku – uprawiać słynny „pivot to Asia” [czyli zwrot ku Azji]. Równocześnie jednak Ameryka jest zbyt uwikłana w innych rejonach, by nagle się z nich wycofać i nie stracić przy tym wiarygodności (również w oczach azjatów) oraz wpływów. Do tego dochodzą rosnący deficyt, groźba sekwestracji i raczej izolacjonistyczne nastroje społeczne.

Sytuacja aż prosi się o katastrofę, a może i dwie. Pierwsza już poniekąd nastąpiła. Rosja zajęła część terytorium kraju, którego integralność poniekąd USA gwarantowały. Konflikt jednak na razie tylko się tli, wojny jeszcze nie ma.

Druga katastrofa zaś właśnie następuje w Iraku i może być nawet bardziej groźna. Rząd iracki okazał się bowiem bardziej niestabilny, niż się spodziewano, i po wycofaniu się wojsk amerykańskich z największym trudem radzi sobie z sun-

nickimi rebeliantami z ISIS (Islamskiego Państwa Iraku i Lewiratu). W rękach bojowników już znajduje się drugie co do wielkości w Iraku miasto – Mosul. Wciąż dokonują też masowych egzekucji swoich wrogów. Połączone siły armii irackiej, ochotników szyickich i żołnierzy kurdyjskich zatrzymały zaś bojowników ISIS zaledwie 100 km od Bagdadu.

Ani prezydent USA, ani Kongres, ani amerykańskie społeczeństwo nie chce naturalnie słyszeć o ponownym wysłaniu żołnierzy do Iraku. W tej sytuacji rząd iracki może pójść tylko w jednym kierunku, w stronę Teheranu. To Iran stał się bowiem najbardziej stabilną, rozgrywającą siłą zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i w środkowej Azji. Wystarczy porównać go z zagrożonymi w chaosie krajami takimi jak Libia czy Egipt; zachowawczymi i przerażonymi Saudami, niestabilnym Pakistanem czy wątłym Afganistanem.

Prezydent Iranu Hassan Rouhani już zaoferował pomoc irackiemu premierowi. Zdaniem „Wall Street Journal” w Iraku w świętych miastach szyickich (Nadżafie

i Karbali) zostały też rozlokowane elitarne bataliony irańskiej straży rewolucyjnej. Obecnie w Iraku oraz Iranie większość zarówno w społeczeństwie, jak i we władzach stanowią oczywiście szyci, co czyni te kraje naturalnymi sojusznikami w tłumieniu sunnickiego powstania. Irak jest jednak bardzo słabym partnerem i jeśli już raz wpadnie w szeroko otwarte ramiona irańskich ajatollahów, to nieprędko się z tego uścisku wyswobodzi. Zwasali-zowanie Iraku ogromnie podniosłoby też prestiż Iranu i byłoby upokorzeniem dla USA. Co więcej, Irak w odróżnieniu od np. Krymu ma bardzo bogate złoża ropy.

Prezydent Obama nie ma jednak wielu opcji, jeśli chce uniknąć powtórki z Korei, z której armia amerykańska wycofała się w 1949 r. tylko po to, aby wrócić tam rok później. Jedyną możliwością wydaje się zaproponowanie Iranowi (a być może i Rosji) kolejnego resetu, na którego mocy USA na pewnych warunkach zaakceptowałyby status quo. Barack Obama zasugerował to już w marcu w wywiadzie dla stacji Bloomberg. Stwierdził wtedy, że wierzy, iż Iran w odróżnieniu od sunnickich bojowników „myśli strategicznie”, „reaguje na bodźce” i jest „dużym, silnym krajem, który postrzega siebie jako poważnego politycznego gracza”.

Problem polega na tym, że Iran i Rosja są ze sobą sprzymierzone i zdają się chcieć w porozumieniu podkopywać amerykańskie wpływy, a nie się z Waszyngtonem układać.

Warto tu odnotować, że amerykańską dyplomację od zawsze prześladowe pewna historyczna krótkowzroczność. Jest to przypadłość związana, jak sądzę, z charakterystycznym dla amerykańskich elit

typem wykształcenia i sposobem myślenia (teorię tę rozwijam w innym tekście). Amerykanie z uporem maniaka zakładają bowiem niemal zawsze, że najbardziej aktualne interesy zupełnie przesłaniają pamięć o przeszłości. Zdrady szybko idą w zapomnienie, do konfliktów się nie wraca, a w polityce zagranicznej można dokonywać nagłych zwrotów niemal bez konsekwencji.

Irak jest bardzo słabym partnerem i jeśli już raz wpadnie w szeroko otwarte ramiona irańskich ajatollahów, to nieprędko się z tego uścisku wyswobodzi

Użyty przez Jacka Bartosiaka termin „nowa Jałta” byłby np. dla przeciętnego amerykańskiego dyplomaty zupełnie nieczytelny. To, że pamięć o tego typu wydarzeniach jest w Polsce tak żywa, wprawiloby go zaś zapewne w konsternację. Tymczasem Polacy pamiętają Jałtę, tak jak Putin pamięta rozpad ZSRR i wojnę o Kosowo, a Rouhani pamięta wsparcie dla rządów Szacha.

To zaś znaczy, że Amerykanie mogą srogo się zawieść na Iranie. Tak jak już kilka razy zawiedli się na Rosji. Ich nagłe zwroty dodatkowo zrażą zaś dawnych sojuszników, takich jak Polska. W efekcie czeka nas pewnie kolejna dekada bardzo ciekawych czasów.

Wesprzyj nas

Dzięki Darczyńcom „Nowa Konfederacja” powstała i działa. Dzięki Darczyńcom będzie mogła nadal istnieć i rozwijać się.

Dlatego prosimy o wsparcie! Każda złotówka, jeśli ma charakter stałego zlecenia przelewu, ma dla nas istotne znaczenie.

Wpłaty prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita:

09 1560 0013 2376 9529 1000 0001 (Getin Bank)

W tytule przelewu prosimy wpisać: „darowizna na cele statutowe”.

Dlaczego warto nas wspierać?

Rynek w obecnej postaci nie sprzyja poważnej debacie o państwie i polityce. Dowodem są wszechobecne i pogłębiające się procesy tabloidyzacji i upartyjnienia mediów opiniotwórczych. Z drugiej strony, zaawansowana wiedza o polityce jest coraz częściej dostępna jedynie dla nielicznych i za coraz większymi opłatami. W Polsce dochodzi do tego problem finansowania wielu ośrodków opiniotwórczych zza granicy i głęboki kryzys mediów (z nazwy) publicznych.

Jeśli ten trend ma się odwrócić, **potrzebny jest alternatywny, obywatelski model finansowania mediów**. Dobrowolny, stały mecenat wystarczająco dużej liczby Polaków umożliwi nam stworzenie prężnego ośrodka intelektualnego. Niezależnego zarówno od partii, od wielkiego kapitału, od gustów masowej publiczności, jak i od zagranicznych ośrodków. I dostarczenie darmowej, zaawansowanej wiedzy o polityce zainteresowanym nią obywatelom.

„Nowa Konfederacja” to (na gruncie polskim) projekt pionierski także pod względem sposobu finansowania. Działamy bowiem właśnie dzięki mecenatowi obywatelskiemu.

Każde stałe zlecenie przelewu jest ważne! **Dołącz do grona naszych Darczyńców i wspieraj media naprawdę publiczne!**

Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) **zwolnione z podatku**. Co więcej, **podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy tygodnik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Tym niemniej, w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy:

Dwudziestu Trzech Anonimowych Stałych Darczyńców, Paweł Gałus, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Marek Nowakowski, Krzysztof Poradzisz, Piotr Woźny

Pozostali Darczyńcy:

Czterdziestu Dziewięciu Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski.

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska, Przemysław Skrzydelski (sekretarz redakcji)

Redaktor prowadzący: Michał Kuź

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Krzysztof Bosak, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski, Tomasz Szatkowski, Stanisław Tyszka, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke

Grafika (okładki): Piotr Promiński

Administracja stroną internetową, korekta, redakcja stylistyczna:

Przemysław Skrzydelski

Komunikacja internetowa: Michał Kuź

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa